

Uczelnie prowincjonalne

Od razu wyjaśniam, że przymiotnika „prowincjonalny” używam jako synonimu dla „lokalny” i bez jakichkolwiek negatywnych konotacji wartościujących, sugerowanych przez inne znaczenia, wskazujące np. na zaściankowość czy małomiasteczkowość. Trzeba jednak zaznaczyć, że lokalność jest mniej lub bardziej względna, np. województwo jest czymś lokalnym w stosunku do całego kraju, ale powiat jest prowincjonalny względem województwa, a gmina – wobec powiatu. Prowincjonalność ma też silny związek z regionalnością. Nie ma co drażyć kwestii semantycznych, ponieważ ustalenie precyzyjnych kryteriów prowincjonalizmu w przyjętym rozumieniu jest raczej niemożliwe, a spektrum nieostrości jest tutaj znaczne. Z drugiej strony, można zaufać świadomości potocznej. Kwalifikuje ona to, co dzieje się w stolicy jako z reguły nieprowincjonalne (centralne); podobnie ocenia się to, co zdarza się w ważnych i dużych miastach, natomiast zdarzenia w powiatach są na pewno prowincjonalne. Wszelako istnienie prowincji i związanej z tym prowincjonalności jest czymś najzupełniej normalnym. Gdyby nie było prowincjonalności, nie było także jej przeciwieństwa, które zresztą nie ma swojej pozytywnej nazwy.

Zgodnie z powyższymi wyjaśnieniami uczelnie prowincjonalne to takie, które mają znaczenie lokalne. Nie jest to jednak kategoria oficjalna. Wedle prawa, uczelnie polskie dzielą się na publiczne i niepubliczne. Oto kilka danych (liczby zaokrąglam; dane z 2011 r.). Ogółem w Polsce działa 470 uczelni, w tym 120 publicznych. Kształcą one prawie 2 miliony studentów, w tym 700 000 uczy się w szkołach niepublicznych. Studentów stacjonarnych jest 900 000, w tym 120 000 w szkołach niepublicznych. Odpowiednio, niestacjonarnych jest 1 milion w uczelniach publicznych i 550 000 w niepublicznych. W 1992 r. istniało 106 uczelni publicznych i 18 niepublicznych. Tak więc w ciągu 20 lat przybyło 26 szkół publicznych (wzrost o 20%) i 320 niepublicznych (wzrost prawie o 2000%). Dzięki temu liczba osób z wyższym wykształceniem wzrosła w Polsce prawie dwukrotnie, mianowicie do 18%, a tzw. współczynnik scholaryzacji (stosunek liczby studiujących do liczby osób w wieku zdolnym do studiowania) powiększył się z 10% do 45%, przy czym udział szkół niepublicznych w tym procesie był bardzo wydatny. Uczelniana kadra naukowa liczy 110 000 osób, z tego 84 000 pracuje w szkołach publicznych, a 16 000 (10,5%) – w szkołach niepublicznych; chodzi o tzw. pierwsze etaty wyłącznie na uczelniach.

Nie jest tak, że uczelnie niepubliczne i prowincjonalne się pokrywają. W Warszawie – miejscu na pewno nieprowincjonalnym – działa ponad 50 szkół niepublicznych i 15 publicznych. Wedle moich prowizorycznych obliczeń (nie podaję kryteriów, aby nikogo nie urazić) 190 szkół niepublicznych ma siedziby na prowincji i działa w 110 miejscowościach. Tak więc prawie połowa (180 na 370) uczelni prowincjonalnych operuje w ośrodkach, gdzie liczba tradycyjnych uniwersytetów lub akademii wynosi przynajmniej 2. Z drugiej strony, co najmniej 40 szkół publicznych ma charakter zdecydowanie lokalny. Można więc przyjąć, że połowa polskich szkół wyższych to jednostki prowincjonalne, działające w około 125 miejscowościach. Nie obliczyłem, ilu studentów jest kształconych w szkołach prowincjonalnych, ale jest ich od 200 000 do 300 000. Tak więc od 10% do 15% polskiej inteligencji kształci się na prowincji. Dodam do tego, że dostrzegam poważną trudność w ocenie zdecydowanej większości szkół niepublicznych (i niektórych publicznych) działających w ponadlokalnych ośrodkach akademickich. Z jednej strony nie działają na prowincji, ale z drugiej strony ich charakter nie bardzo odbiega od szkół prowincjonal-

nych. Jedyne kilka uczelni tego typu ma ambicje i szanse stania się szkołami porównywalnymi z uniwersytetami czy akademiami w tradycyjnym sensie. Reszta będzie zapewne węgnować na marginesie silnych uczelni publicznych i niepublicznych, o ile w ogóle przetrwa. Wiadomo, że prognoza demograficzna zakłada zmniejszenie się liczby mieszkańców Polski. Dla kształcenia ma mieć to taki skutek, że w 2030 r. liczba studentów zmniejszy się do 1 miliona, a więc o połowę.

Spadek liczby studentów uderzy przede wszystkim w szkoły niepubliczne z uwagi na to, że przeważają w nich studia niestacjonarne, ale niekoniecznie uderzy to w uczelnie prowincjonalne. Należy też oczekiwać kryzysu tych szkół, które zostały założone bardziej jako przedsięwzięcia komercyjne, a nie dla świadczenia usług edukacyjnych. Przypuśćmy, że te założenia są trafne. Pierwszą konsekwencją będzie normalizacja rynku kształcenia, na którym pozostaną placówki o już ustalonej renomie lub znaczące z regionalnego punktu widzenia. Po drugie, procent (a nie liczba) studiujących na prowincji będzie większy niż obecnie. Dodatkowym powodem mogą być wzrastające koszty studiowania w dużych miastach, przewyższające czesne za studia niestacjonarne na prowincji. Tak więc niepubliczne szkolnictwo lokalne okaże się trwałym elementem edukacyjnej struktury kraju.

Krytycy uczelni prowincjonalnych, zarówno publicznych jak i niepublicznych, wskazują, że jakość kształcenia w nich jest niższa niż w centrach akademickich oraz że szkoły lokalne nie prowadzą badań naukowych. Na drugi punkt trzeba odpowiedzieć, że byłoby rzeczą zgoła nienormalną, gdyby badania naukowe były silną stroną szkół prowincjonalnych. Nigdzie tak nie jest, wyjąwszy placówki specjalnie stworzone do realizacji wysoko kwalifikowanych przedsięwzięć badawczych. Może to źle, a może dobrze, ale nasza tradycja akademicka nie przewiduje takich zadań dla uczelni prowincjonalnych. Niemniej jednak badania naukowe winny być prowadzone w każdej placówce akademickiej, także prowincjonalnej. Mogą mieć znaczenie dla danego regionu, ale przede wszystkim są ważne dla kadry naukowej i jej zawodowego samopoczucia. Łatwo znaleźć przyczynę tego, że uczelnie prowincjonalne nie prowadzą badań naukowych w stopniu wystarczającym. Jest nią słabość kadry. Przypominam, że tylko niespełna 11% kadry akademickiej pracuje w szkołach niepublicznych na pierwszych etatach, a można przypuszczać, że jeśli chodzi o wszystkie uczelnie prowincjonalne, jest podobnie. Sytuacja nie zmieni się, dopóty nie zostanie przeprowadzona relokacja kadry naukowej w całym szkolnictwie w postaci etatyacji poszczególnych placówek. Każda uczelnia wyższa, publiczna lub niepubliczna, prowincjonalna lub nie, winna mieć własną kadre, a nie opierać się na drugoetatowcach, a ci przypisują swoje prace badawcze szkołom, które są dla nich pierwszym miejscem zatrudnienia.

Podobnie jakość kształcenia w szkołach prowincjonalnych cierpi z powodu braku stabilnej własnej kadry. To również rzecz dobrze znana. Wszelako niejako kręcimy się w kole. Naukowcy szukają dodatkowych etatów, a uczelnie tych, którzy gotowi są pracować na pierwszych etatach. Ministerstwo zaś robi wszystko, aby utrudnić jedno i drugie. Uczelnie prowincjonalne, niezależnie od prowadzenia badań naukowych i kształcenia studentów, mogą stać się ważnym elementem kulturotwórczym dla swojego otoczenia lokalnego. Ale i to zależy od posiadania własnej kadry. Jest więc wiele powodów, aby prowincjonalne szkoły wyższe nie były traktowane jak piąte koło u wozu. Trzeba im pomagać, o ile mają spełniać ważną rolę kulturową i edukacyjną.